

## Nota edytorska do opowiadania *Noc* Mirośława Nahacza

*Noc* to kolejne, niepublikowane do tej pory, opowiadanie Mirośława Nahacza. Przy redakcji zachowana została zasada wierności zapisowi autorskiemu. Wprowadzone poprawki dotyczą interpunkcji i ortografii. Usunięto również literówki. Dopiski edytorskie umieszczone zostały w nawiasach kwadratowych. Dla lepszego zrozumienia tekstu, niektóre słowa opatrzone przypisem.

Opowiadanie to stylem przypomina pierwszą książkę Mirośława Nahacza zatytułowaną *Osiem cztery*. Charakteryzuje je język pisarza niemal dojrzałego, świadomego użytych słów. W utworze zaobserwować można to, za co najczęściej chwalony był twórca – słuch literacki. Wprowadzone poprawki edytorskie służą więc wypukleniu naturalnego rytmu tekstu, nadanego mu przez autora.

Cechą charakterystyczną pisarstwa Nahacza jest zacieranie granic między światem rzeczywistym i światem iluzorycznym, niemal onirycznym. Czytelnik, dzięki niezwykłości języka twórcy, zyskuje możliwość specyficznego odbioru realiów, dostępnego jedynie ludziom o wielkiej wrażliwości. Ta właściwość prozy Nahacza nie jest obca i temu opowiadaniu, które jawi się jako preludium do jego dalszej twórczości.

**Mirośław Nahacz**

### **Noc**

*Wszystko się wypala jak retorty<sup>1</sup>.*

Janek

Każda noc jest inna. Każdej nocy mrok ma inną gęstość. Nieskończoność różnic czyni wszystkie noce podobnymi.

Ta była cicha i jasna. Oniryczna jak zwykle. Sen z niej wyparował, unosząc się w bieli nad lasem. Marzenia są przejrzyste, skondensowane w czubkach drzew, pnąc się w górę, by rano i tak wsiąknąć w ziemię razem z kroplami rosy. Przed świtem marzenia rozszczępią słońce, które nocą wydaje się nieistniejące w żadnym ze światów.

Przestrzeń staje się nieskończona i wpędza człowieka w zakłopotanie swym ogromem. Część czasu znika gdzieś na te kilka godzin i jego mijanie w mroku różni się całkowicie

<sup>1</sup> Retorta – rodzaj pieca do wypalania węgla drzewnego.

od normalnego, dziennego płynięcia. Z braku jasności jest tylko krótkim interwałem, w którym wszystko trwa zawieszony. Słońce niknie tylko na kilka sekund, a wszystko, co wydarzyło się bez jego obecności, wydaje się chimeryczną marą, odrealnioną dosadnością opromienionych kształtów. Przez ten krótki okres pozbawiony czasu (a przynajmniej kilku jego właściwości) wydarzenia dotyczące ludzi toczą się obok pantareicznego mijania. Człowiek ma wrażenie, że przebywa w cieniu czegoś nieskończenie metafizycznego, immanentnego. Tak, noc jest immanentna. Noc nie posiada kolorów. Może jedynie materializować się poprzez kształty. Rozłożyste gałęzie drzew są zwierciadłami naszych myśli. Gdzieś daleko, daleko w zupełnej abstrakcji śpią inni ludzie. Jest im wszystkim ciepło i można by jeszcze coś o nich napisać, jednak to całkiem inny świat i prawie tak trudno o nim myśleć, jak o tym, że na drugiej półkuli jest dzień.

Szliśmy jak zawsze. Tylko we dwóch. Mijaliśmy, wypaczone banalnymi opisami poetów, owe mistyczne góry. Jednak tej nocy coś z nimi było nie tak, jak być powinno. Metafizyka znikła, wyparta przez błoto, które pozwalało o niej całkowicie zapomnieć. Na spodniach, twarzy, rękach leczyło z romantycznej choroby duszy [to coś]. Każdy krok zatapiał się w rozmokłej ziemi, każdy dokonany krok stawał się powodem do radości. Szliśmy bardzo powoli, a za nami nie zostało już nic. Wchodziliśmy w las. Powoli zamykał się za nami czarna płaszczyzna, która wtedy była kresem jednego świata. Księżyc zawieszony w najwyższych partiach drzew wydawał się umieszczoną tam latarnią uliczną. Czasami sam się dziwię irracjonalności ludzkich porównań. Dwa dni wcześniej była jasna pełnia kradnąca nocy część jej ciemnej magii. Lecz wtedy już, w prawy górny róg tarczy, powoli wkradała się czerń, pozbawiając księżyc doskonałego kształtu.

Jest taki moment w nocy, najdziwniejszy z jej wszystkich chwil, kiedy noc przechodzi w swój najczarniejszy wariant i poza nami nie istnieje nic. Jesteśmy tylko my, jak gdyby poza naszym światem nie było żadnego innego, bo to, że gdzieś tam śpi kilka milionów ludzi to rzecz wprost nie do wyobrażenia. To absolut, którego nie zdoła się objąć umysłem. Tak samo jak Bóg. Liczy się tylko teraźniejszość, bo inne formy czasu biorą się po prostu ze światła. Owszem, wspomnienia na skutek introwersji stają się wyraźniejsze nawet od tego, co będzie za kilka sekund, lecz nawet one płyną w nocnej irracjonalności wszystkiego.

Więc szliśmy jak zawsze – we dwóch. Naszym imperatywem nie było romantyczno-sentymentalne pragnienie poznania piękna przyrody, lecz około dwadzieścia przyjezdnych dziewczyn w pobliskiej wsi. Turystki są najłatwiejsze. Robiliśmy za autochtonów, bo to teraz modne. Ezoteryczność czerni zrobiła jednak swoje. Nikt z nas się nie odzywał. Słowa w powietrzu brzmiały wstydliwie. Tlen nie chciał ich przenosić i wszystkie zdania pozostawały niedokończone. Ginęły gdzieś nad lasem, zanim ich sens dotarł do uszu. Woleliśmy więc nic nie mówić. Cisza. Ta banalna, piszcząca, której przerywanie kojarzy się z profanacją świętości.

Więc szliśmy jak zawsze – we dwóch. Zauroczeni obrazami niby z płócien Wyspiańskiego. Na łące, nie wiadomo gdzie, szumił świerszcz. Z nieokreślonego punktu w przestrzeni dochodził śpiew ptaka, cała reszta była podkładem. Czasami coś śpiewaliśmy,

jednak żadna piosenka nie miała końca – tonęła niedoskonała pomiędzy szumem wszystkiego, onieśmielona czarną ciszą bez dna. Paliliśmy papierosy, a nieświadome niczego świetliki udowadniały okrucieństwo i niedoskonałość przyrody. Gasty dopiero po kilku sekundach, tak że końcówka papierosa jarzyła się fluorescencyjną zielenią. Nikt z nas o tym nie mówił, bo i po co. Świetliki – mała rzecz.

Od drzewa do drzewa i dalej. Kombinacja powtarzana wtedy niepoliczalność razy, bo i po co liczyć. Śpiewaliśmy szlagiery o utraconej miłości, niebie, ziemi, górach i o czym jeszcze się przypomniało. Lecz najczęściej, wiadomo, kobiety. O czym może śpiewać dwóch facetów w środku dwóch tak wielkich rzeczy. Choć właściwie noc to nie rzecz, las też [nie], ale sens mimo to jest zrozumiały.

Przystawialiśmy często, lecz nie, aby odpoczywać. Noc była taka, że mogliśmy prze-wędrować ją całą. Przystawialiśmy tak po prostu, przerywając śpiew i niewiele mówiąc. W takim otoczeniu każdy by tak zrobił. Przystawialiśmy, patrząc daleko w horyzont, gdzie ziemia przechodzi w granat, i na krańce drzew, i krańce drzew. Za nimi nie było już nic, bo w nocy, czego się nie widzi, tego nie ma. Na polanach, przy samej ziemi, w wierzchołkach traw majaczyła nierównomiernie rozdzielona bladeść. Była jak papierosowy dym, z tym swoim kolorem. Jak zastygły, papierosowy dym. Zanurzaliśmy w niej ręce, które ginęły w bieli, specyficznej, czarnej bieli nocy. Na dłoniach czuło się wilgoć i delikatność. Noc miała słodko-mdły zapach bezwstydników i gnijącej ściółki. Na samym dnie woni czaił się dym z pobliskiej retorty. Czuliśmy, że noc nas wchłania. Powoli. Nasze ciała robiły się coraz czarniejsze, jednak przyjmowaliśmy to z całkowitą obojętnością. Z coraz większym trudem odróżniałem przyjaciela od powietrza przesyconego mrokiem. Jego coraz rzadszy głos był już całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek semantyki, nie przenosił żadnych sensów. Brzmiał tylko, coraz bardziej podobny do atawistycznego mruczenia. Lecz szliśmy dalej, jak zawsze – we dwóch. Cel podróży zginął gdzieś w podmokłych łąkach, zapomniany od narkotycznych oparów później pory. Przyjaciel coraz rzadziej stopami dotykał ziemi, zdawał się raczej płynąć. Patrząc na własne nogi, widziałem to samo. Mrok czuło się już w myślach. Permanentnie zagarniał coraz większe obszary racjonalności w naszych umysłach. Widzieliśmy tylko, że idziemy. Przestaliśmy zwracać uwagę na drogę, a mokrość i bagna nie stanowiły już żadnego problemu. Nogi mojego przyjaciela znikły zupełnie. Moje też. Cały był rozmyty i głupio się uśmiechał nierozumiejącym ogromnym grymasem, który wykraczał poza ramy jego twarzy. Przenikaliśmy już drzewa, nie zwracając na to uwagi. Noc wydawała się jeszcze piękniejsza, lecz teraz emanowała innym jego [piękną] rodzajem. Kolory nie były mu potrzebne, bo jego istotę stanowiła jedność. Wszystkiego ze wszystkim. Noc puchła. Jak rozszerzający się w nieskończoność wszechświat.

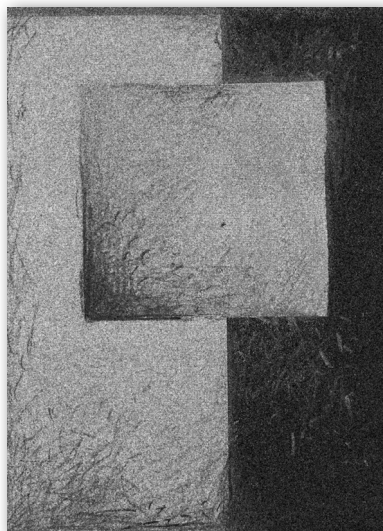
I szliśmy. Dalej i dalej. Coraz szybciej. Czerń zbliżyła się do swej idei, stając się od niej nieodróżnialna. Po tym momencie mrok powinien już ustępować. Blednąc i tracąc swą esencję pożerającą kolory i kształty. Nad horyzontem powinna pojawić się cienka, najcieńsza linia światła, ekspansywna, powiększająca się niezauważalnie, aż do przyścia świetlistego mesjasza.

Znikał i wszystko z nim. Ciemność zaraz przed swym przesileniem przyćmiewała całość empirycznych doznań wzrokowych. Las się kończył jak wszystko kiedyś. Wychodząc, właściwie wypływając z niego, noc stała się lżejsza. Zawierała więcej materii. Kolega z czarnej nicości wracał do normalnej powłoki. Wspomnienia i cel wędrówki powróciły, jak gdyby myśli również miały być materialne. Wstawał nowy dzień i nic nie mogło powstrzymać ekspansji światła. Pierwsze pojawiły się kształty i kontakt z nimi. Sama ich obecność wystarczała do powrotu zwykłego sposobu myślenia. Kolory rafinowały<sup>2</sup> z mroku, dzieląc dotychczasowy jednolity świat. Rzeczy zaczynały jawić się jako uprzedmiotowione. Co ciekawe, przyjmowaliśmy te wszystkie powolne metamorfozy, noszące znamiona cudów, z osobliwym indyferentyzmem.

Byliśmy świadkami szóstego dnia, w którym wszystko nabiera ostatecznego wymiaru i staje się zreifikowane<sup>3</sup>. Światło splotało permanentnie, przynosząc dyskursywne i pragmatyczne widzenie świata. Wszystko wchodziło w swoje normalne ramy i na niedopowiedzenia czy wyobraźnię nie starczało już miejsca. Forma wypełniała całą materię. Świetlna ostateczna forma, której nawet Demiurg nie może zmienić. Słońce redukuje człowieka do zwykłego obserwatora.

I szliśmy jak zawsze – we dwóch. Świat się zmniejszył, a przestrzeń z absolutu przeszły w zwykły, doświadczalny wymiar. Wszystko, co było przed, powróciło, a noc wtedy stała się snem. Gdy trwała, czas nie istniał, więc tak naprawdę nic się nie wydarzyło.

Potem wstał dzień.



Rita Lazaro, *Znak*

<sup>2</sup> Rafinować – termin chemiczny, oznaczający oczyszczenie substancji w celu nadania im odpowiednich właściwości.

<sup>3</sup> Zreifikować – urzeczowić.